

FUTUROLOGIA NAUKA NADZIEI

Plany i wizje na rok 1985

Futurologia (futurum — to co będzie, logos — nauka) zwani również wizjonerami (visio — przewidywania dotyczące spraw odległych w czasie lub przestrzeni) są specjalistami z ostatniej chwili. Ich dziedziny badawczej nie objaśniono nawet w XII wydaniu Słownika Wyrazów Obcych PIW z 1967 r., ani w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. Trawestując znane słowa o książkach: habent sua fata visiones! Starożytny wieszczki, średniowieczni astrologowie i wróżbiarze trzęśli posadami tronów. Dopiero XIX „wiek rozumu” zepchnął ich na pobocze do prywatnych „gabinetów”, razem z Księgami Sybilli, czarnymi kotami i kulami z kryształu. Bywały jednak niespodzianki. Nie tylko zawiedzione w miłości Józie były klientkami pań Palej i panów Pyrello. Czytaliśmy niedawno, że astrolog Jan Starża-Dzierżbicki opracował horoskop Ignacego Mościckiego chemikowi, wynalazcy, byłemu profesorowi politologii. Chodziło oczywiście nie o przepowiednię dla naukowca, lecz dla prezydenta RP. Starża-Dzierżbicki prorokował Mościckiemu długą, pełną chwały prezydenturę, niezakłóconą żadnym gwałtownym wydarzeniem.

Minieła połowa XX wieku i oto „wizjonerzy” znów robią karierę. Tym razem naukową, jako futurologów. O ich pracy donoszą agencje prasowe całego świata, ich wypowiedzi komentują najważniejsze organy nauki. Cały świat słucha ich słów z nadzieją. Jeśli ujawnią to co nas czeka za lat np. czterdzieści, ludzkość może uniknąć wielu błędów i kosztów.

Futurologia próbuje opracować własną metodę badawczą. W ostatnim numerze „Kultury i Społeczeństwa” (organu Komitetu Badań nad Kulturą Współczesną PAN) socjolog prof. dr Jan Szczepański — uczestnik pierwszego polskiego „sympozjum wizjonerów” w Jabłonie — za namową się nad metodą „dochodzącą do poprawnych, to jest racjonalnych przewidywań” w kwestii przyszłości struktury i organizacji grup społecznych.

Młodzież szkolna, studenci, robotnicy... W planowaniu na pięć lat można względnie łatwo wyobrazić sobie ich przyszłe charakterystyczne cechy. Jednak futurologia operuje znacznie dłuższymi odcinkami czasu. Czego się będą uczyć osiemnastolatki w roku 2000? Co stanie się z „profesją” niekwalifikowanego robotnika za lat, powiedzmy, trzydzieści? W jakim kierunku będą ewoluować przekonania, gusty, pragnie-

nia różnych grup społecznych. Czy będą się do siebie upodabniać, czy przeciwnie, coraz bardziej różnić i jakie to przyniesie konsekwencje dla ekonomiki i kultury kraju?

Naukowe przewidywanie przyszłości jest rzeczą realną, a dalsze doskonalenie metod badawczych niewątpliwie przyspieszy rozwój futurologii. Gdy chodzi o prognozę składu grup społecznych, profesor Szczepański sędzi, że można stosować parę różnych metod, m. in. tę, którą posługują się demografowie przy tworzeniu prognoz ludnościowych. Polega ona na ustaleniu kierunków rozwoju dla poszczególnych grup w minionym okresie czasu i rzutowaniu tych samych tendencji w przyszłość. Druga metoda polega na analizie planów perspektywicznych. W naszym ustroju uwarstwienie społeczeństwa opiera się głównie na jego zróżnicowaniu zawodowym; Przyszły skład grup społecznych zależy więc od zamierzonych kierunków szkolenia (podobny wpływ mają długofalowe plany gospodarcze). Przecież metoda polega na analogiach, czyli wnioskowaniu o przyszłej strukturze grup społecznych w oparciu o aktualne badania grup „bardziej rozwiniętych”. Można na przykład założyć, że nasz przyszły układ społeczny będzie podobny do istniejącego obecnie w ZSRR.

Wspomnieliśmy, że futurologia posługuje się m. in. danymi zawartymi w planach perspektywicznych. Pierwsza hipoteza robocza rozwoju Polski w roku 1985 mówi np., że będziemy mieszkali wygodnie — po jednej osobie na izbę, że około 70 proc. mieszkańców w miastach i na wsi, będzie nowoczesnie wyposażonych, że całą ludność otoczy się uspołecznioną opieką lekarską, podwoi się ilość miejsc w szpitalach i ośrodków zdrowia na wsi, dwu i półkrotnie wzrośnie liczba studentów na studiach dziennych. Z takiej informacji można, jak się wydaje, wyprowadzić optymistyczną wizję człowieka z roku 1985. Uwolniony od ciasnoty domowej, będzie mógł więcej czytać, rozmyślać, uczyć się. Kobieta zdobędzie więcej czasu dla siebie; odciążona od domowej harówki z paleniem w piecach i praniem w balii, będzie bardziej wypoczęta i dłużej młoda. Otoczone opieką lekarską dzieci lepiej się rozwijają umysłowo i fizycznie, będą się chętniej uczyć, a potem pracować. Około sto tysięcy młodzieży z dyplomami wyższych uczelni zasili co roku kadre o najwyższych kwalifikacjach...

Pozazdrościć futurologom — ich warsztaty badawcze rysują przed naszym krajem ugruntowane nadzieje.

Głos tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO
Nr 319 10. XII 1967 Rok VII

„Wobec stałego wzrostu liczby młodzieży wkraczającej w wiek produkcyjny zagadnienie szybkiej i prawidłowej adaptacji nowo zatrudnionych w zakładach pracy, stało się jednym z najważniejszych elementów w kształtowaniu właściwych stosunków międzyludzkich. Zagadnienie to należy do najbardziej zaniedbanych, a jednocześnie szczególnie ważnych ze społeczno-politycznego i naukowego punktu widzenia. Pierwszą zeteknięcie się młodych ludzi z środowiskiem, w którym mają żyć i pracować, wywiera istotny wpływ na ich późniejszą postawę, przywiązanie do zakładu oraz stosunek do produkcji”.

Wychodząc z takiego założenia kierownictwo wielkopolskiej organizacji ZMS sformułowało szereg bardzo konkretnych wniosków pod adresem swoich poszczególnych instancji.

Minęło od tego czasu półtora roku. W okresie tym zdołano zarówno dość szeroko upowszechnić, poprzednio stosowane formy adaptacji jak i wypracować nowe, niejednokrotnie bardzo interesujące. Nie brak zakładów — np. HCP, „Pomęt”, Wolsztyńska Fabryka Mebli, ZNTK Ostrow — w których dzięki ZMS — nowo zatrudniony z reguły odczuwa wszechstronną pomoc. Najogólniej mówiąc, poczynania w tym zakresie sprowadzają się do tego, by „Kowalski” nie czuł się osamotniony, by jego warunki pracy i warunki socjalno-bytowe były zgodne z odpowiednimi wymogami.

Mimo niezaprzeczalnych osiągnięć w adaptacji społeczno-zawodowej młodzieży, sytuacja w tym zakresie — generalnie rzecz biorąc — nie jest jeszcze zadowalająca. Np. w Kaliskich Zakładach Przemysłu Jedwabniczego przyjmowanie do pracy trwa około 10 dni (a więc już przy pierwszym zetknięciu z zakładem nowo zatrudniony odnosi niekorzystne wrażenia). W konińskiej Hucie „Aluminium” całkowicie nie brano pod uwagę problemu adaptacji przy przyjmowaniu 700 (!) pracowników. Zakładów tego rodzaju niestety nie brak. Niedawno (1 bm) Komisja do spraw Młodzieży Pracującej CRZZ stwierdziła na swym plenarnym posiedzeniu, że „tylko nieliczne fabry-

ADAPTACJA SPOŁECZNO-ZAWODOWA MŁODZIEŻY

ki przychodzą młodym z pomocą przyspieszając ich adaptację zawodową” (cytat z informacji PAP).

Nie wszystkie zakłady mogą drogą specjalnych poczyną ułatwiać młodzieży zawodowy start. W szczególności mniejsze jednostki, dysponujące przestarzałymi obiektami i urządzeniami, napotyka na zasadnicze trudności w zapewnieniu młodzieży dobrych warunków pracy i nauki. Jednakże i od tych zakładów należy wymagać skrupulatnego respektowania ustawodawstwa pracy. Podkreślamy: nie chodzi już o wszechstronny i konsekwentnie realizowany program adaptacji, ale tylko o jeden z jego podstawowych elementów: przestrzeganie przepisów prawa pracy.

Problem ten wymaga szczególnego zainteresowania. Nierzadko bowiem start zawodowy odbywa się w warunkach urągających kardynalnym zasadom bhp. Oto przykład z ostrowskich Zakładów Sprzętu Mechanicznego (gdzie również działa koło ZMS).

We wspomnianym zakładzie młociancy pracowali nie tylko w nocnych zmianach, ale również bez odpowiedniego nadzoru. Bez nadzoru,

padek. Trzeba wyraźnie powiedzieć: ZMS nie może i nie powinien wyręczać administracji w zakresie adaptacyjnych poczyną. Należy to bowiem do podstawowych obowiązków kierowniczej kadry administracyjnej. Czynniki społeczne winny natomiast przede wszystkim inspirować i inicjować zgodne z potrzebami rozwiązania. W tej działalności nieodzowne wydaje się być uwzględnianie hierarchii potrzeb, co nie zawsze cechuje pracę zakładowych ogniw ZMS. Inaczej mówiąc, czasami zwraca się uwagę na drugorzędne elementy adaptacji (np. uroczyste wręczanie młodym pracownikom pierwszych wynagrodzeń), a zbyt mały nacisk wywiera się na administrację w zakresie uporządkowania problemów organizacji pracy i produkcji. A to jest sprawa podstawowa — program minimum społeczno-zawodowej adaptacji młodzieży.

Pracownik, który w pierwszej połowie miesiąca niewiele ma do roboty (bo brak materiałów, narzędzi itd., itd), w drugiej zaś goni „na łeb, na szyję”, by nadrobić zaległości nie może wyrobić sobie właściwego stosunku do pracy. Podobnie z tym robotnikiem, który w wyniku zaniedbań zakładu ulega wypadkowi. W tego rodzaju sytuacjach mało skuteczną są takie, skądinąd godne uwagi, formy adaptacji jak: organizacja spotkań nowo zatrudnionych np. z mistrzami, fundowanie młodemu, wyróżniającym się pracownikiem książeczek mieszkaniowych, organizacja wolnego czasu nowo zatrudnionych i rozłożenie opieki nad tymi spośród nich, którzy mieszkają w hotelach robotniczych.

Jednakże nie brak oznak wskazujących na przywiązywanie — przez ZMS — coraz większej wagi do wspomnianego programu „minimum”. Świadczy o tym m. in. powoływanie młodzieżowych społecznych inspektorów pracy. Jest ich obecnie w Wielkopolsce i w Poznaniu 491 (z czego 92 — w branży metalowej, co po zwala mówić o nierównomiernym upowszechnieniu tej instytucji). Dość liczna więc ta armia, która może wywrzeć duży wpływ na poprawę warunków pracy. Oczywiście jeśli będzie się odznaczać odpowiedzialną bójowością — cechą, której niestety brak wielu starszym społecznym inspektorom pracy.

*) Cytat z wniosków Plenum ZW ZMS, które w czerwcu ub. roku obradowało nad problemami społeczno-zawodowej adaptacji młodzieży.

Michał Łuczak

Co to jest program minimum?

który w tym przypadku był szczególnie potrzebny. Po pierwsze dlatego, że młodocianych „zapomniano” zaznajomić z podstawowymi zasadami bhp. Po drugie — ze względu na fakt, że warunki pracy były trudne (np. przejścia między maszynami zawalone zostały surowcem).

14 lutego br. nastąpiło to, czego się w tej sytuacji można było spodziewać: doszło do wypadku przy pracy. Jedną z pracownic doznała ciężkiego oskalpowania.

W trakcie postępowania karno-administracyjnego ujawniono, że mistrz, któremu podlegała grupa młodocianych pracowników również nie był przeszkolony w zakresie bhp!

Zaznaczając, że w Zakładach Sprzętu Mechanicznego w Ostrowie jest koło ZMS, nie chcieliśmy w ten sposób dawać do zrozumienia, iż to jego aktywiści ponoszą winę za wy-

Nowi partnerzy plastyki

Przed paroma dniami odbyła się w Poznaniu w Klubie „Od nowa” pozornie typowo towarzyska i konsultacyjna, w gruncie rzeczy jednak chyba ważna dla naszego życia plastycznego impreza: spotkanie krytyków i kierowników małych galerii i salonów debiutów z całego kraju. Andrzej Matuszewski — kierownik galerii „Od nowa”, inicjator i wielki szaman całej imprezy nazwał ją „Spectrum Galerii Nieoficjalnych”. Co to są galerie nieoficjalne? Jakże zadania mają one u nas do spełnienia, co różni je od przeciętnych biur wystawowych w kraju?

Małe, nie subwencjonowane bezpośrednio przez państwo galerie i salony wystawowe tego typu co poznańska „Od nowa” — bardzo wysoko ceniona przez plastyków, mniej niestety przez odbiorców i popularyzatorów — przypominają całym swym programem eksperymentalne scenki studenckie i aktorskie. Są w opozycji wobec oficjalnej sztuki akademickiej, wobec form jej upowszechniania. Nie narodziły się one bynajmniej z braku miejsc i okazji do wystawiania. Raczej przeciwnie — z ich nadmiaru, z konieczności przeprowadzenia selekcji, konieczności dokonywania artystycznego wyboru. Mamy obecnie w Polsce wiele wystaw plastyki współczesnej: około 2000 rocznie. Mnogość ich przekracza już dziś nie tylko możliwości krytyków i odbiorców nieetatowych, ale także samych plastyków. Stąd powtarzające się wciąż nazwiska wystawców, a nawet i poszczególnie prace na różnorodnych wystawach w całym kraju. Szybki rozwój galerii nieoficjalnych (w roku 1962 było ich 5, dzisiaj wraz z salonami debiutów — 15) da się wytłumaczyć niewiary w zaangażowanie artystyczne i właściwe orientacje oficjalnych galerii i biur wystawowych w kraju. Można dostrzec w tym też chęć ucieczki od wpływu środowiska samych plastyków. Podporządkowanie wszystkich spraw dotyczących pla-

styki Związkowi Polskich Artystów Plastyków — instytucji reprezentującej na równi interesy artystów i „dużych”, i „małych”, nie zdaje się sprawdzać w praktyce i wpływa niejednokrotnie na rangę artystyczną ekspozycji. Szanse uprawiania sztuki na własny rachunek, w galerii grupującej ludzi ambitnych, o własnych założeniach artystycznych — stwarzają dziś właśnie te małe nieoficjalne galerie.

Tendencja ta byłaby tylko sprawą wewnątrzśrodowiskową, nie istotną w naszym modelu upowszechniania, gdyby nie to, że właśnie w tych małych galeriach rysują się dziś najbardziej wyraźnie niż we wszystkich innych możliwości nowego mecenatu społecznego sztuki i integrowania różnych środowisk. To, co nie udaje się z reguły wielkim państwowym biurom artystycznym, udaje się właśnie bardziej może zaangażowanym w sprawy sztuki twórcom i organizatorom z galerii nieoficjalnych. Szukają oni kontrahentów wśród ludzi spoza świata sztuki. I czasami, o dziwo, ich znajdują. W Elblągu na przykład, znana już dzięki głośnym plenerom Galeria „El” opiera się na współpracy i pomocy wielkiego, bogatego zakładu produkcyjnego „Zamechu”, który wydaje nawet plastykom katalogi wystaw tej galerii. W zamian w katalogu reklamuje się wyroby fabryki. Galeria nie ogranicza się przy tym do wystaw, ma własne pracownie, stara się o stypendia twórcze. Najdziwniejsze jest jednak to, że zbudowali ją sami plastycy w zburzonej i opuszczonej nawie starego kościoła. Z kolei galerię w Lublinie wyposażyli Ruch i zagwarantowali jej szanse dalszego działania. Galeria „Pałacyk” we Wrocławiu ma partnera w Klubie Stowarzyszenia Dziennikarzy, Galeria warszawska znalazła mecenasa w CRZZ i redakcji czasopisma „Kultura i Życie”, Galeria „Pod Moną Lisą” — w miesięczniku „Odra”.

Dokończenie na str. 2

JANUSZ PRZYMANOWSKI

Janusz Przymanowski, obecnie pułkownik-literat oraz dziennikarz prasy wojackiej tudzież cywilnej, rdzenny notabene warszawiak — siedzi w latach wojny ku Polsce drogą zbliżoną do tej, którą ostatnio przypisał Janowski Kosowi w „Czterech pancernych i psie”. Pracował bowiem w głębi ZSRR jako traktorzysta, trafił następnie do armii, aby wraz z polskimi oddziałami ruszyć na zachód, zwiąawszy się z gazetą o przewidywanym tytule „ZWYCIĘZYMY!”. Tytuł ten zweryfikował w berlińskiej Reichskanzlei, dokąd — z pierwszą grupą dziennikarzy — dotarł obok swych przyszłych bohaterów powieściowych. Relacje pisarskie o tamtych dniach znaleźć możemy w „Opowieściach ze 101 nocy”, odznaczających się tym samym rysem, co i wielka monografia bitwy „Studzianki” (tym razem pisma Przymanowskiego-historka) — a mianowicie umiędzynarodowieniem przekazywania. W książkach pułkownika, czy będą to baśnie dla dzieci, czy przesławna historia pancernych, czy opracowania naukowe, powieści lub felietony — serdeczność spojrzenia autorskiego na sprawy wzniosłe ożywia pojęcie, zastępując dziś zbyt często w drętwy slogan, a w rzeczonych tonach sztuką Przymanowskiego tętniące od nowa krwią, „tę w żyłach i tę z żył”, jak powiada poeta.

PRZEDSTAWIAMY AUTORÓW RYSUNKOWEJ WERSJI POWIEŚCI „CZTEREJ PANCERNI I PIES”

SZYMON KOBYLINSKI

Szymon Kobylinski debiutował jako student warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych na łamach prasy lat temu dwadzieścia i graficzno-satyryczna forma dziennikarstwa stanowi dla niego stałe główne dziedziny pracy, czego dowodem wieloletnie współdziałanie z POLITYKĄ i SZPIKAMI. Dojrzał twórczo w okresie znanym m. in. z propagowania wielowarsztatowości, toteż nie pozostaje przy karykaturze, lecz kulturowo także ilustrację książkową, zwłaszcza o tematyce historycznej, co obrodziło setką bez mała iluminowanych tomów. Dla rozmaitości projektuje czasem (wraz z żoną) scenografię, ponadto przez dziesięć lat służył telewizji, zarówno osobą własną, jak i samymi rysunkami, od dawna też działa w radio, kreśli filmy, chwila mi pisze felietony, wygłasza pogadanki w najróżniejszych środowiskach. Jest członkiem kolegium redakcyjnego pisma REKLAMA, pasjonuje się hippiką i wędkarstwem, a w wolnych chwilach studiuję broniostwo. Ostatnimi czasy oddał się niemal bez reszty „Czterem pancernym i psu” (zwłaszcza psu, jako właściciel mnóstwa suczek).

Rys.: Szymon Kobylinski



Po zeskoku

Doobnąłem do chatynki na szczycie wznieślenia. Na płaskich kamiennych schodach zdjąłem gumowy hełm czoło miałem wilgotne. Przystanęłam w mrocznej sionce. Pachniało tu sianem, oborą, nagrzana wełna. Wchłaniałem te zapachy, nie wiedziałem, kiedy otwarto drzwi. Wejrzałem od razu w jasne wnętrze, buchnęło stamtąd ciepło, wokół stołu, pod ścianami i na środku izby — dziwni ludzie w dziwnych strojach. Swojskość tego obrazu mąciły czapki, jakiś rodzaj myc czy jarmulek, coś tam na nich błyszczało, barwiło się.

Cofnąłem się w mrok. Kombinezon miałem rozpięty od wstędy, kiedy przyległem z moim rotmistrzem w rozpadlinie, nim podeszły patrol. Gdzie jestem teraz? Dokąd zaprowadzili mnie ci dwaj, którzy tak uczynnie pomagali brnąć po stoku? Broń tkwiła z boku, w wewnętrznej kieszeni brezentowego okrycia. Cały czas jeden z towarzyszących lekko napierał na mnie z tyłu. Powiedział coś, usłyszałem szum niby przedłużający jego zdanie. Śliska biel musnęła go po policzku. Na środek izby pod nogi podchodzącego z naprzeciwka, wleciał spoza moich pleców spadochron, byle jak zwinięty po zeskoku, niesiony przez pomocnego; przeciągnięte linki wyrzuciły w kilku miejscach lśniący materiał. Zadzwoniły klamry, ciężki zamek brzękliwie uderzył o podłogę. Zaraz pełna izba jedwabiu. Wszyscy tamci zostali po drugiej stronie, przesłonięci. „Ostatni jego lot” — pomyślałem; — „już nie zajmie się nim w składalni żadna kobieta dłoń”. Zapytałem:

— Gdzie jestem?

Usłyszałem to samo, co przed chwilą:

— W chacie sami swoi, panie...

Wilgotną dłoń wycierałem wilgotne czoło. Wiedziałem już: to takie płaskie mieli furazętki, bez wysokiego przodu, do którego przywykłem podczas służby w regularnym wojsku; jakieś tam świecidełka: orły, dowiedziałem się potem, wycięte z puszek po konserwach; doszłyte obok białe-czerwone chorągiewki. Mundury — mój Boże, raczej ich częściej. Za to buty z cholewami o wysokich napiętkach, tak zwanych „szklankach”. Polski fason. Mogłem wstydzić się pokazywać tu po cywilnemu.

Przekroczyłem lśniące linki, minąłem tego, który wyszedł mi naprzeciw, zerknąłem w oczy mojemu dowódcy dla upewnienia się, rotmistrz „Prosty”, teraz major, doznał tu na chwilę przede mną, oparty łokciem o stół, rozgadany, nie dawał znaku. Chłódłem w sobie, Przyjrzałem się lampie, nieduży płomyk rozjaśniał izbę, nigdy dotąd nie widziałem podobnego światła: kociołek z rurką; na końcu rurki — płomień; pachniało to nieznany. Skisłałem wyciągnięte ręce, słyszałem: Imiona? Nazwiska? Pseudonimy? Co mogłem im przeciwstawić? Falszywe dane z karty? Pseudo? Weszła młoda dziewczyna o bardzo jasnych, grubych warkoczach. Ktoś powiedział: „To nasza Halinka”. Na talerzu lądowały mączyste ziemniaki, parowały; drugie przyjsię dziewczyny przyniosły nowy zapach: kotlety wieprzowe w rumianej bułce. W

Przepraszam, czy można...

4 września — Postanowiłem założyć pamiętnik. W VII klasie chyba na to pora. Wszyscy piszą, spróbuję i ja. Może te zapiski będą kiedyś w cenie. Tak powiedział żartobliwie tato, gdy mu powiedziałem o moim postanowieniu. Więc zaczynam. Dzisiaj było klawo. Tylko zbiórka na boisku i przemówienie pana kierownika.

5 września — Upiętko się, nie było nauki. Wszliśmy do klasy, wychowawczyni podyktowała plan na jutro i poszliśmy do domu.

19 września — Nie zaglądałem przez dwa tygodnie do notatnika. Nowe przedmioty i sporo nowych gogów. Trzeba było ich rozgryźć no i jakoś się zaprezentować od nie najgorszej strony. Dzisiaj jest wreszcie trochę czasu. Nie było w ogóle lekcji, bo poszliśmy na film „Westerplatte”.

25 września — Tydzień przeleciał. Nie bardzo było kiedy pisać, pogoda dobra, to zagrywało się w pile codziennie. Wczoraj — sukces. Wpruliśmy tym z ulicy Sowiej 4:0. Dzisiaj upiekła się jedna lekcja prac.

25 października — Koniec miłego spoczynku, pani od polewy wróciła. Przez 10 dni był spokój, bo chorowała. Ta druga, co ją zastępowała, nie była groźna. Można powiedzieć, że mieliśmy wczasy. Tak powiedziałem tacie, nie spodobało mi się to.

28 października — Dzisiaj nie ma lekcji, bo całe ciało pedagogiczne na konferencji. Nareszcie mogłem ruszyć do śródmieścia w poszukiwaniu papieru milimetrowego i bristolu. Jak raz nie miałem, a kupić okropnie trudno, zarobiłem dwie.

30 października — Stale coś. To zbiórka harcerska, to ojciec zeszytu sprawdził i kazał przepisywać histę. Nie był to zeszyt najlepszy, ale zaraz przepisywać! A powód się znalazł: wróciłem po pierwszej lekcji, bo nie było

3 godzin prac i biologii. Ojciec wyrzekał, że wciąż nas zwalniają.

31 października — Wiwat, wolny dzień! Konferencja rejonowa nauczycieli. Mama z tatą nie chcieli wierzyć, gderali, że dopiero była całodzienna.

2 listopada — Dwa dni wypożyczynu (wczoraj było święto) to jednak dobra rzecz. Na dokładkę dzisiaj mieliśmy o jedną lekcję mniej. Nie było pani od biologii.

3 listopada — Znowu się upiekło. Odpadła fizyka, bo trzeba było dokonywać prób ustawiania się. Za parę dni do szkoły przybywa Ważna Osoba.

Piotr Życki

Z pamiętnika ucznia

5 listopada — No, znowu trochę się odsapnęło. Ważna Osoba odwiedziła naszą budę wczoraj. Było uroczyste i ani jednej lekcji, tylko zbiórki w klasach.

11 listopada — Chemia poszła koło nosa. W chemii nie jestem tegi, to się podwójnie ucieszyłem. Podobno chemiczka zachorowała.

20 listopada — Ostatnio miałem kilka trudnych dni. Sprawdziany, kartkówki, przepytowania, poleciały gole, ale dzisiaj spokój. Ani jednej lekcji, tylko wręczenie kwiatów i te de. Dzień Nauczyciela.

25 listopada — Znowu dni, wypełnione pilowaniem programu. Całe szczęście, że dzisiaj trochę ulgi, pani od śpiewu była zajęta w innej budzie ze szkolnym programem artystycznym. Nie było więc śpiewu, a chemia, jako ostatnia leja, też odpadła.

27 listopada — Szkoda, dzisiaj nie było prac, które lubię, mamy

je tylko raz w tygodniu 3 godziny.

29 listopada — Dzisiaj edukacja skończyła się po pierwszej leji, a to był wu-ef.

30 listopada — Możliwy czas na stał: stale coś z planu zlatuje, dzisiaj chemia i matma. A nasza paczka myślała, że będzie klasa i obciach groził muruwanemu paru koleżkom.

1 grudnia — Wypoczynkowy dzień. Nie było polskiego, fizyki, matematyki i lekcji wychowawczej. Można było trochę obejrzeć telewizję i podciągnąć się w gramatyce, a także geometrii. Ale ojciec był niemiłosiernie napalony i nawet powiedział, że chyba

wyberze się do kierownika. On to gotów zrobić, zeszłego roku na jednej wywiadówce domagał się zorganizowania zastępstwa, bo nie mieliśmy matmy przez miesiąc z powodu choroby pani. Ale numer mu nie przeszedł.

2 grudnia — Dni ulgowe trwają, cztery leje dzisiaj z głowy: nie było historii, chemii, matematyki i fizyki. Poszedłem do Wacka, zamienialiśmy znaczki i powiedziałem o zwolnieniu nas z czterech lekcji tylko mamie. Tacie wolałem już nie mówić...

KOMENTARZ

ZDETERMINOWANEGO TATY:

Władzo Szkolna! Uczniowski pamiętnik jest fikcją, ale fikcją nie są skrupulatne zapiski, prowadzone od początku roku przeze mnie. Nie mam pretensji do szkoły XY, do jej kierownika, do

jej pedagogicznego grona, przede wszystkim pewne szczegóły. Chodzi o niepokojące nasilające się zjawisko — nieodbywania z uczniami zajęć. Przyczyny są rozmaite, Władzy Szkolnej znakomicie znane: choroby nauczycieli, postępująca feminizacja kadry pedagogicznej, obarczanie pedagogów niezliczonymi funkcjami społecznymi, a także obowiązkami nie mającymi z dydaktyką nic wspólnego, brak funduszy na oplacanie zastępstw i — co najistotniejsze — niedostatek wykwalifikowanej kadry niektórych specjalności.

Wszystko to prawda, ale — oprócz problemu, jaki stanowią dla szkół uczniowskie wagary, mamy problem nie mniejszej wagi: godziny stracone przez uczniów z innych przyczyn. Jest to niepokojące. W odniesieniu do wyższych klas poważnym się użyć określenia: alarmujące. Z moich zapisków wynika, że klasa VII szkoły XY w ciągu kwartału postradała około 70 godzin! Wypełnienie tak znacznych luk w edukacji staje się niezwykle trudne. Nie zawsze przy tym uczniowie zwalniani są z lekcji z przyczyn, którym nie można by zaradzić; kierownictwa niektórych szkół zdają się same nazbyt liberalnie gospodarować czasem, przewidzianym na nauczanie, co chyba dobitnie wynika z przytoczonych zapisków, pretendujących do miana typowych.

Można mieć także uzasadnione wątpliwości, czy komitety rodzicielskie oraz opiekuńcze, sprawne na ogół i działające sprężyście, gdy chodzi o kwestie materialne — nie powinny żywiej interesować się dydaktycznymi dylematami szkół.

Tyle uwag, w oparciu o doświadczenia Jacka-siódemoklasty i jego kolegów z klas młodszych i starszych — spał na użytek Władzy Szkolnej jeden z mocno zaniepokojonych ojców.

Nowi partnerzy plastyki

Dokończenie ze str. 1

Wreszcie poznańska — w Radzie Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich.

Stwierdziłszy na początku, że poznańskie seminarium galerii i salonów debiutów może odegrać poważną rolę w życiu plastycznym kraju. Nie jest to stwierdzenie bezzasadne. W czasie obrad zarysował się tu już plan poważnych inicjatyw plastycznych w skali kraju. W przyszłym roku Poznań na przykład ma zorganizować w wyniku narady ogólnopolskie biennale młodej plastyki, a Wrocław — dużą międzynarodową wystawę prac malarzy wytypowanych przez nieoficjalne, pozostające poza nurtem akademickim, galerie różnych krajów. A to byłaby już piękna wizytówka placówek artystycznych opartych o mecenat instytucji spoza świata plastyki. O. B.



SKĄD SIĘ BIORĄ FACHOWCY?

„Skąd się biorą fachowcy”? Pewien popularny dowcip „dyrektorski” mówi, że z ogłoszeń. Wystarczy przejrzeć oferty na łamach pierwszego lepszego dziennika, aby spostrzec, że najwięcej miejsc zajmują ogłoszenia o poszukiwaniu fachowców różnych branż i specjalności. Oferty prześcigają się zazwyczaj w obietnicach, co świadczy o tym, że fachowcy ci są absolutnie potrzebni. Niektóre ogłoszenia nie schodzą ze szpalty tygodniami, wiele kończy się bez rezultatu. Po prostu fachowców brakuje.

Tak rozpoczyna rozważania na temat braku fachowców Kazimierz Kozub w artykule na łamach „Tygodnika Kulturalnego”. Brak fachowców — to tylko jedna sprawa. Jak bowiem wykazuje praktyka na ogół wszędzie brak ludzi do pracy, nie tylko fachowców. Także w Poznaniu można by wiele robot rozpocząć wcześniej i wiele realizować szybciej, gdyby nie brak ludzi do pracy. Przyczyn tych braków jest sporo. Można się obawiać, że nie wszystkie

są jeszcze dostatecznie znane. O niektórych z nich — poniżej.

Cytowany tu Kazimierz Kozub uważa np., że po prostu nie bardzo wiemy, ilu i jakich fachowców nam potrzeba. Oczywiście, nie jest rzeczą łatwą ustalenie, z punktu widzenia potrzeb gospodarki narodowej — prawidłowych proporcji pomiędzy liczbą uczniów, którzy powinni się szkolić w odpowiednich typach szkół. Mogły w tym niewątpliwie podjęte przed kilku laty prace nad bilansem siły roboczej oraz prowadzone obecnie badania szczegółowe zapotrzebowania gospodarki na fachowców. Trudność polega jednak na tym, że zarówno potrzeby jak i możliwości nie są elementami stałymi. Dlatego właśnie badania szczegółowe powinny być procesem nie jednorazowym, lecz ciągłym.

„Zgodnie z ustawą o rozwoju systemu oświaty i wychowania z 1961 r. — pisał Kozub — minister oświaty upoważniony został do kierowania — bezpośredniego lub za pośrednictwem organów administracji szkolnej prezydentów rad narodowych — kształceniem kadr. Równocześnie jednak do tego samego wyżej wymieniona ustawa upoważnia inne ministerstwa i urzędy centralne. Nie upoważnia natomiast ministra oświaty do koordynowania całokształtu spraw szkolnictwa. W rezultacie w latach 1980 — 1985 powstało około 3 tysiące nowych szkół zawodowych, które podległy 23 resortom i innym urzędom centralnym. Taka sytuacja musiała spowodować zamieszanie, czego wynikiem brak fachowców w różnych specjalnościach, a nadmiar w in-

nych. Wszak przeprowadzone badania wykazały, że aż 40 proc. absolwentów szkół zawodowych nie podejmuje pracy w swoich zawodach. Wysoki jest też ten procent wśród absolwentów szkół wyższych”.

Żeby tę sytuację poprawić — a potrzeba taka nie ulega wątpliwości — autor proponuje powierzyć Ministerstwu Oświaty i Szkolnictwa Wyższego nie tylko obowiązek koordynowania prac nad szczegółowym planem szkolnictwa, ale zarazem wyposażać właśnie ten resort w uprawnienia koordynacyjne w samym procesie kształcenia. Inaczej bowiem także w przyszłości

PRACOWNICY POSZUKIWANI

nadal będą jednym z podstawowych problemów. Rozwijająca się gospodarka — jak wykazuje zwłaszcza ostatnie lata — bez trudności wchłania do pracy cały wyż demograficzny. W ostatnich 7 latach — pisał Jacek Knab w „Tygodniku Demokratycznym” — liczba osób zatrudnionych zwiększyła się aż o 27 procent. Pracę podjęło 1.900 tys. osób, czyli znacznie więcej niż planowano. Skutki są znane: utrudnia to wzrost realnych płac, powoduje nadmierne migracje ludności, ostry deficyt rąk do pracy w niektórych ośrodkach przemysłowych oraz płynność załóg. Pracy jest więc — głównie w najważniejszych ośrodkach przemysłowych — więcej niż chętnych do jej podjęcia. Prowadzi to do efektów ekonomicznych, które trudno oceniać jako korzystne.

Oto w Warszawie, a przykład ten nie jest odosobniony, corocznie trzecia część

nowo przyjmowanych wypowiada pracę w swym poprzednim miejscu zatrudnienia, a siódma część po prostu porzuca dotychczasową pracę. Jeszcze raz wyłania się więc pytanie, co robić, żeby nie brakowało kandydatów na pracowników. Jacek Knab rozważa nie nową sprawę zatrudniania kobiet na tych stanowiskach, na których mogą one z powodzeniem zastępować mężczyzn. Ale i to w praktyce okazuje się niełatwe, bo np. z kolei stanowiska pracy opuszczane przez pracownice, które odeszły na emeryturę tylko w nieznacznym stopniu są ponownie obsadzane kobietami. W wielu bowiem ośrodkach rozbieżność pomiędzy szansami uzyskania pracy przez dwie osoby identycznych kwalifikacji, z których jedna jest kobietą a druga mężczyzną — jest wciąż jeszcze duża, za dużą w stosunku do tego co można by w tej mierze zrobić. I to jest również przyczyną braku pracowników.

W tej sytuacji ludzie często zmieniają pracę.

DLACZEGO ODCHODZĄ?

Nad tym pytaniem zastanawiają się nie tylko dyrektorzy zakładów, ale także socjologowie, często też sami pracownicy. Ich opinie, w oparciu o przykład gdańskiej stoczni, relacjonuje Tadeusz Robak w „Życiu Literackim”. Czytamy tam m. in.

„Co jest u nas kryterium wiążącym człowieka z miejscem pracy? — mówi dalej socjolog. — Bo na Zachodzie, wiadomo, stale słyszy się jedną odpowiedź: „pewność pracy”. Jest tam rezerwowa armia bezrobotnych, szczególnie wyraźnie to występuje w USA, człowiek chce

mieć zabezpieczenie przed utratą pozycji. U nas to kryterium wobec robotników przemysłowych zupełnie nie chwytą. Potrzeba pewności pracy przestała być potrzebą...”

Jak to odbudować, bo potrzeba jest chyba dla każdego wyrazista i pilna? Jak zapobiec temu, że np. praktycznie jedynym sposobem awansowania (także finansowego) stało się u nas przeniesienie do innego — a zatem przecież nieznanego — zakładu? Istnieją taryfikatory, umowy zbiorowe, które zastrzegają: do przejścia z takiej do takiej grupy zarobkowej trzeba przepracować określony okres, zdać określony egzamin. Te przepisy są skrupulatnie przestrzegane, więc żeby je przeskoczyć, idzie się do innego zakładu i powiada: potrzebujecie spawacza prawda? — No to dajcie mi jedną grupę więcej. I dają, jeszcze się cieszą. W ten sposób spawacz Kowalski trafia ze stoczni remontowej do Stoczni Gdańskiej a spawacz Jankowski ze Stoczni Gdańskiej do remontowej. Co najdziwniejsze, wyspisy są zadowoleni, chociaż obaj ubożawani awansem spawacz pracuje dłużej czas gorzej, bo praca jest odmienna, chociaż administracja obu zakładów mają z tym wiele kłopotu...

Osobiście wydaje mi się, że w tym właśnie upatrywać można błędne koło. Ale tylko z pozoru jest to błędne koło. Sprawa wymaga niewątpliwie dalszych badań, a wtedy zapewne będzie można łatwiej niż dzisiaj — i co najważniejsze — skutecznie przeciwdziałać szkodliwej fluktuacji kadr.

LEKTOR